



TREŚĆ NUMERU:

29 Listopada.

T. H. Śląsk Górny.

Adam Płomińczyk. Kryzys
stronnictwa kłesk narodowych.M. Weronicz. Dyplomacja So-
wiecka.

Uwagi.

T. R. Z dni wielkich kłesk i
wielkich zwycięstw.Marceli Handelsman. W pię-
tym pułku legionów.

Pod sąd opinji.

Rzeczy Różne.

29-ty LISTOPADA.

Bez rozleglejszego echa minęła rocznica listopadowa. Tak niegdyś poruszająca ambicje i aspiracje narodowe wspomnieniem świetnych możliwości zwycięstwa w wojnie z Rosją i tyle z tego powodu budząca żalu i refleksyj. Tyle przynosząca nauk. Rozbiorem wypadków samej nocy listopadowej uczyła, jaka słabość leży w niedoplanowanym do końca zamachu powstańczym, który nie ma swojego jutra twardą decyzją ustalonego,—a jaka znów moc jest w samym porywie, zdecydowanym na wszystko, który zuchwałością swą złamie silniejszego od siebie wroga i ma zapewnione zwycięstwo. Krytyczną oceną późniejszej kampanji, śladem Prądzyńskiego i Mierosławskiego idącą, uczyła rocznica listopadowa mierzyć moralne kwalifikacje wodzów i oficerów — i kazała zapuszczać sondę w najgłębsze tajniki sumienia narodowego, w te dziedziny duchowe, z których płynie duch słabości i niezdecydowania. Rozważaniem błędów i niedoskonałości polityki insurekcyjnej stawiała przed oczy rząd, nie mający jasnego planu—sejm, nie umiejący spełnić swego zadania wobec całości powołanego do walki narodu,

sejm, który w oratorstwie bezpłodnym nieraz tonąc, nie potrafił wyzbyć się, nawet w obliczu ostatecznej walki egoizmów stanowych.

Wspomnienia epoki listopadowej otwierały perspektywy na najbliższe po niej lata wielkiej emigracji, która w nieśmiertelnej poezji wieszczów wypracowała syntezę przewodnich idei narodu i dalekie, genialne rzuty w przyszłość dla myśli i czynu narodowego. Emigracja ta w rozpaczliwej pracy oddartych od realnego gruntu mężów stanu przekuła myśl polityczną polską w nowoczesne formy i związała w syntezę zagadnienie przyszłości Polaka i przyśrodkowała wolnego człowieka.

Takie myśli szły w naród co rok dnia 29 listopada, w te niedawne — a tak już odległe lata, gdy możliwości nasze o tyle były szczuplejsze niż w chwili owej, gdy Piotr Wysocki miał na zawołanie 160 zbrojnych, wyćwiczonych i zdecydowanych na wszystko podchorążych, gdy Prądzyński nie w teorii, lecz dla jutrzejszej praktyki wypracowywał plany ofensywy na gwardje, lub gdy Szaniecki mógł w sejmie stawiać swe projekty reformy agrarnej.

Dusza narodu, choć nawet myślała o przyszłości, stale musiała być odwrócona twarzą w tył — ku bogatszej przeszłości. Dziś teraźniejszość i przyszłość jest bogaczem. Maleje wobec niej Wysocki, Prądyński i Olbrych Szaniecki, maleje i cała ta wojna ówczesna i cały ów sejm i rząd.

A jednak warto choć na ten dzień jeden odwrócić oczy,—spojrzeć w przeszłość. Warto—choć inne niewątpliwie nadeszły czasy—i nie jesteśmy już zmuszeni w tradycję patrzeć, jako w rzecz bardziej życiem tętniącą, niż gnijąca w bezruchu teraźniejszość.

Warto oderwać oczy dla spojrzenia w perspektywę dziejową—i dla nauki także.

Bo z punktu widzenia tej perspektywy są analogje między położeniem Polski powstania listopadowego — i Polski dzisiejszej. Broniła ona wtedy swej niepodległości, umocnić ją miała okazaniem samodzielnej siły—tak jak myśmy ją bronili i umacniali ubiegłego lata i możemy być jeszcze zmuszeni bronić w bliższej lub dalszej przyszłości.

Stały przed nią zadania zewnętrzne: wojna na wschodzie i szukanie przymierzy na zachodzie. Za-

dań tych nie rozwiązała. Nie potrafiła zdobyć się na to, by główny ciężar zagadnienia powierzyć samodzielnej sile,—a na drugim planie, w zależności od swych czynów samodzielnych, traktować przymierza,

Stały przed nią zadania wewnętrzne: oparcie państwowości na sprawie ludu, jako całości narodu. I tych też zadań nie rozwiązała, nie potrafiwszy wyjść poza szranki najbliższych interesów.

Czyż dziś nam te same błędy nie grożą — te same błędy, których możliwość tkwi w nieziennej naturze naszego położenia geograficznego i w słabości, czającej się widać gdzieś głęboko w naszym charakterze zbiorowym?

Dzieje mają logikę, swoistą ciągłość i konsekwencję. Naród, który chce mieć samowiedzę pełną, ową jedyną busolę, z którą człowiek i społeczeństwo płynnie kolumbową drogą ku nieznannej przyszłości, musi uczyć się ciągłości tej i logiki na własnych dziejach. Ona mu będzie przewodniczką i wieszczką przyszłości.

A przeto warto odwrócić oczy ku nocy 29 listopada i spojrzeć rozumnie i krytycznie.



Śląsk Górny.

Zmorą państwa polskiego są wszelkiego rodzaju prowizorja.

Prowizoryczne ma ona granice, konstytucję, prowizoryczne i różnorodne prawodawstwo i t. d. Wszystko to ogromnie osłabia znaczenie Polski wśród innych narodów, które wskutek tego skłonne są samą Polskę traktować jako prowizoryczne, chwilowe zjawisko.

Tym prowizorjom należy położyć kres. Wiele ma braków pokój w Rydze, ale ma ten ogromny plus, że określa nasze stałe granice na Wschodzie.

Ostatecznemu skryształowaniu się naszych stosunków na Wschodzie przeszkadza sprawa Wilna—musimy dążyć więc do jaknajszybszego jej zlikwidowania.

Jeszcze bardziej jednak ten stan prowizoryczny komplikuje sprawa Górnego Śląska.

Mały ten kraj, bo zaledwie 2 miliony ludności liczący, ma ogromne znaczenie dla losu Polski. Zgoła inną będzie przyszłość Polski zależnie od tego, czy Śląsk Górny będzie należał do niej, czy nie. W pierwszym wypadku Polska w ciągu kilkunastu lat stanie się jednym z najbardziej przemy-

słowych krajów w Europie. Węgiel Śląska będzie tą życiodajną siłą, która rozwinie przemysł na wszystkich ziemiach państwa polskiego. Co za tem idzie i ustosunkowanie sił w Polsce będzie inne, aniżeli obecnie. Polska obecna, to w ogromnej swej większości kraj chłopski; jeśli jednak Śląsk Górny przyłączymy do Polski, wzmocni się w Polsce klasa robotnicza i jej znaczenie, a jednocześnie, potężniejszy z roku na rok wskutek przyłączenia Śląska przemysł, będzie ilość robotników coraz bardziej powiększał.

Siła wpływów robotniczych w Polsce będzie rosła wówczas nie tylko przez to ilościowe ich zwiększanie się kosztem wsi, skąd będą rekrutować się robotnicy dla nowych gałęzi i zakładów przemysłowych, lecz jednocześnie i przez rosnącą świadomość swych interesów, przez coraz to mocniejszą organizację.

Będzie to ułatwiane przez specyficzną właściwość klasy robotniczej skupiania się w poszczególnych miejscowościach przemysłowych w ogromne armie robotnicze.

To wszystko z robotnika stworzy równowagę rozrzuconej masy włościańskiej, pozwoli im wywierać coraz większy wpływ polityczny na rządy w Polsce, pchać ją na drogę wielkich i zasadniczych przeobrażeń społecznych.

Inaczej będzie jeśli Polska Śląska Górnego nie otrzyma. Przemysł polski, uzależniony od Czech i Niemiec, rozwinie się bardzo powoli. Polska wskutek reformy rolnej stanie się wkrótce krajem, gdzie zamożne włościanstwo będzie klasą rządzącą, i politycznemu obliczu państwa polskiego nada odpowiedni charakter, pod wielu względami konserwatywny.

Świadomie zastanowiłem szerzej się nad temi dwoma możliwościami, aby w ten sposób uwypuklić, jak dalece jeszcze jesteśmy państwem przewidywanym.

Nic więc dziwnego, że Europa tak jest wobec nas ostrożna. Inna będzie Polska ze Śląskiem, inna bez niego.

Tego kredytu, którego chętnie każde państwo udzieli Polsce mającej Śląsk, nie udzieli nikt Polsce bez Śląska. Dlatego też kapitały zagraniczne wolą czekać.

Trzeba więc cieszyć się, że termin plebiscytu na Górnym Śląsku został już wyznaczony. Jak wiadomo, ma się on odbyć w styczniu 1921 roku.

Plebiscytu nie boimy się, bo tam za nami będzie głosować lud. Ta prastara dzielnicowa polska, zaprzędana Niemcom przez zniemczonych książąt Piastowiców, których potomkowie stali się podporą tronu królów pruskich, a szlachta ongiś polska główną ostoją hakatyzmu, — w sercach szarego ludu przez 600 lat przechowywała swą polskość. I oto dziś, gdy przyszła taka chwila błogosławiona, że lud śląski może swe serca otworzyć, gdy może na dnie duszy przechowywane tęsknoty i ukochania głośno wypowiedzieć — ogień polskości buchnął na tej ziemi polskiej jasnym, potężnym płomieniem.

Wybory do rad gminnych, zdławienie przez lud śląski powstania Niemców na Śląsku w krytycznych dla Polski dniach sierpniowych — przekonały Niemców, że Śląsk Górny jest dla nich stracony. I oto Niemcy dziś czynią wszystkie wysiłki, aby go uratować przy pomocy innych czynników, aniżeli plebiscyt.

Niestety te obce czynniki gotowe są zdeptać, zgwałcić istotną wolę ogromnej większości ludności Górnego Śląska. Takim wrogiem głęboko wierzącego i katolickiego ludu śląskiego okazał się Rzym.

Ta sama Stolica Apostolska, która w dziejach Polski tyle, tyle razy jej szkodziła, dziś znowu występuje przeciwko Polsce.

Nic dziwnego. Różni Teodorowicze, Brownsfordowie, Lutosławscy przekonywują tak gorąco Rzym, że Polska zawsze, w każdej okoliczności będzie „wierną córą Stolicy Apostolskiej“. Tymczasem w Niemczech istnieje protestantyzm, istnieją starokatolicy, a więc wszelki nieżyczliwy stosunek może wywołać niepożądane skutki.

I oto Rzym na życzenie Centrum katolickiego w Niemczech, zabiegał gorąco, aby Śląska Górnego nie przyznano odrazu Polsce, jak to było początkowo w warunkach pokojowych Koalicji, lecz aby odbył się tam plebiscyt. Obecnie Rzym upoważnia biskupa wrocławskiego Betrama do wydania zakazu księżom brania udziału w akcji plebiscytowej.

I zdaje się, że Benedykt XIV nie omylił się, — „wierna córka“ Polska gotowa i ten cios przyjąć z pokorą.

Księża polscy na Śląsku już wydali oświadczenie, w którym „wyrażają niezachwianą wierność do Kościoła i niezłomną wolę stania na straży interesów Kościoła i wiary“. Rozumie się, że jako kapłani poddajemy się wszelkim rozporządzeniom władzy kościelnej. *Dlatego też zastosujemy się do najnowszego rozporządzenia księdza biskupa wrocławskiego, dopóki będzie ono obowiązujące*“ (Gazeta Poranna № 316, 1. XII. 20 r.).

A więc, gdy trzeba wybierać między interesem Polski a Rzymu, gdy godzi on w najżywotniejsze sprawy państwa, księża polscy utartym zwyczajem wybierają Rzym.

Najbliższe dni przyniosą rozstrzygnięcie tej sprawy, wykażą, jak dalece Rzym lekceważy Polskę.

Niema z tego co by nie wyszło na dobre.

Ten cios w plecy Polsce zadany przez Rzym wielu, wielu otworzy oczy.

Drugim, jeszcze bardziej potężnym sojusznikiem Niemiec jest Anglja. Państwo to, zniszczywszy potęgę morską i kolonialną Niemiec, nie tylko nie ma już obaw przed nimi, lecz chce ich wygrać przeciwko Francji, dziś swej współzawodniczki na morzu i w polityce kolonialnej. Z drugiej strony Anglja nie chce zbyt silnego osłabienia ekonomicznego Niemiec, gdyż chce, aby mogły one sprawnie płacić te wszystkie ciężary, które nałożono na nie w Wersalu.

Wreszcie Anglja nie chce zbyt silnego państwa Polskiego, naturalnego sojusznika Francji, będącego w sferze jej wpływów nie tylko politycznych lecz i ekonomicznych. Wszystko składa się na to, że Anglja zupełnie wyraźnie dąży do pozostawienia Śląska Górnego przy Niemcach.

Jedyną nadzieją Niemiec, to wykorzystanie tego lapsusa w traktacie wersalskim, że w plebiscycie mają prawo głosować osoby, urodzone na Śląsku.

Przez Śląsk Górny jako teren przemysłowy przelewała się rok rocznie olbrzymia ilość robotników, urzędników, pracowników handlowych, przyjeżdżających na Śląsk i wyjeżdżających z nie-

go, w poszukiwaniu lepszych płać i stanowisk. W ten sposób istnieje ogromna liczba osób, których rodzice pochodzili z innych prowincyj i tam wrócili, one zaś same urodziły się w ciągu chwilowego pobytu rodziców na Śląsku i pozatem nic wspólnego z nim przez całe życie nie miały. Liczba takich „ślązaków“, rzecz naturalna wysoce nieuchwytna, stanie się źródłem wielkich nadużyć ze strony Niemiec.

Anglja zasadniczo jest za tym, aby tę kategorię dopuścić do głosowania, jednak uświadamia sobie, że istotny lud śląski poprostu nie pozwoli tym przybyszom głosować, — dlatego wysuwa projekt głosowania ich w Kolonji.

Rząd polski kategorycznie winien tę propozycję odrzucić. Jeśli nie uda się mu wogóle utra-

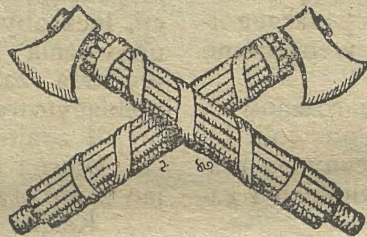
cić tych przypadkowych „ślązaków“, to winien domagać się, aby głosowali oni na Śląsku, — lecz osobno w kilka tygodni po głosowaniu miejscowej ludności. Traktat bowiem przewiduje, że taki Ślązak z urodzenia winien głosować w gminie swego urodzenia, co utrudni mu fałszerstwo, zmusi go do przyjazdu i udowodnienia, że istotnie urodził się w tej gminie.

Takie może być maximum ustępliwości Rządu polskiego.

Inaczej bowiem plebiscyt będzie naigrywaniem się z ludu śląskiego, który za to może krwawo się zemścić.

Polska cała będzie wówczas po jego stronie.

T. H.



Kryzys Stronnictwa klęski narodowej.

Kto od dnia 11 listopada 1918 obserwuje życie polityczne Polski, dodać trzeba — obserwuje z dużą cierpliwością, — ten zauważyć musi fakt systematycznego obniżania się znaczenia i wpływów obozu demokratyczno narodowego i tego wogóle kierunku myślowego i moralnego, którego obóz ten jest wyrazem.

Wpływy jego wyrosły w latach największej klęski narodowej i największego ucisku a opierały się na umiejętności przystosowania się do niego. Obóz ten umiał wykorzystać patryotyczne usposobienie ogółu i pracom narodowym trudnym i ryzykownym przeciwstawiał hasła, nie wymagające wysiłku, ani nie narażające nikogo na represje zaborcy. W ten sposób uczył frazeologii, uczył nieodpowiedzialnego szermowania górnje brzmiącymi hasłami, dawał ogółowi narkotyki moralne, które stępiały w nim moralność na zadania konieczne do podjęcia i na klęski, których ciosy należało odwracać.

Takim tanim, nieobowiązującym do niczego hasłem, było hasło autonomji, przeciwstawianie walce o niepodległość w epoce kryzysu rewolucyjnego w państwie rosyjskiem w latach 1904-6, autonomji, która spaść miała na nas z góry, jako dar, zesłany nam przez Dumę petersburską. Takim samym hasłem, już w czasie wojny rzucanym, było zjednoczenie ziem polskich pod panowaniem rosyjskiem, które gwarantować nam miała odezwa W. Księcia, a wywalczyć bagnet żołnierza rosyjskiego. Narkotykiem, mającym odurzyć społeczeństwo było hasło bojkotowe w stosunku do żydów, którego sensem była nie walka ekonomiczna z wyzyskiem po-

średników, lecz zaabsorbowanie ogółu sprawą łatwą i odwróceniem jego uwagi od trudnych i ryzykownych, jaką była walka z najazdem rosyjskim. Takim narkotykiem: również było szerzenie hasel antygermańskich — nie pod zaborem pruskim bynajmniej, lecz w Królestwie i Galicji, gdzie nie było to połączone z żadnym ryzykiem i gdzie nic, lub bardzo mało przeciw Niemcom można było konkretnie zrobić; w ten sposób jednak energję społeczną, która tu powinna była skierować się do walki z Rosją, zużywało się w sposób tani i bezużyteczny.

W ten sposób w środowisku n-demokratycznym, które przez autosugestję działacze N.D. uważali za cały naród, wyhodowana została sztucznie niewiara we własne siły, ciągłe oglądanie się za możliwą protekcją — dawniej wrogów, bo Rosji, później sprzymierzeńców — bo Francji. W środowisku tem każdy objaw samodzielnej siły narodowej traktowany był i jest jako intryga obca, awantura, rewolucja lub... despotyzm. W ten wreszcie sposób sprawiono, że w każdym momencie ciężkim z ośrodków n-demokratycznych promieniował na cały naród nerwowy defetyzm, beznadziejny pesymizm, który wszędzie szuka winnych, nawet zdrajców, a nie dopuszcza do tego, by samemu wziąć się z zakasaniem rękami do pracy.

Okazało się to jasno w lecie roku bieżącego, gdy wróg wdarł się w granice Polski.

Na cóż liczyć mógł w momencie takim obóz, który sam nigdy do walki z żadnym wrogiem nie potrafił wystąpić, który nigdy żadnej siły własnej narodu nie dostrzegał i nie szukał, a każdą siłę powstającą zwalczał jako konkurencję dla swojej organi-

zacji? Tylko na czyjaś łaskę, lub niełaskę z zewnątrz, którą nam w jakimś Spa zaofiarowywano. Na czymże opierać mógł obóz taki swą własną politykę, swój własny interes partyjny, — jeśli organizowanie siły i planowanie zwycięstwa były zawsze sprawą przeciwną jego naturze? Tylko na przewidywaniu klęski, która im, liczącym i opierającym się o moźną pomoc z zewnątrz, da władzę w ręce.

Sądy powyższe to nie mniej lub więcej słuszne rozumowania, są to — uogólnienia faktów.

Na przewidywaniu klęski oparta była cała polityka N-demokracji od wiosny roku bieżącego. Już w czasie wyprawy ukraińskiej przygotowywano opinię w ten sposób, aby każde, najmniejsze nawet niepowodzenie wyzyskać dla swych celów partyjnych. Gdy przyszły niepowodzenia i odwrót, zbudowali oni plan opanowania władzy w państwie, który za punkt wyjścia miał znów klęskę, bo wzięcie Warszawy przez bolszewików. Za podstawę operacyjną obrali Poznań, tam skoncentrowali najwybitniejszych swych mężów stanu. Tam usiłowali zainicjować tworzenie armji rezerwowej — a dokonali tyle, że zatamowali dopływ świeżych uzupełnień do walczącego ostatek sił frontu. Stamtąd inspirowali ententę, by pomoc swą uzależniła od rozdziału władzy Naczelnika państwa i Wodza Naczelnego (który miał być poddany dyrektywom oficerów francuskich), i tą drogą zdążyli do obalenia Piłsudskiego. Opinię w kraju, a szczególnie w Poznańskim urabiali przeciw rządowi i Naczelnemu Dowództwu, a czynili to za pomocą agitacji bezprzykładnej pod względem warcholstwa i burzycielskich instynktów.

Plan zawiódł — bo przyszło zwycięstwo.

Nastąpiły jeszcze odruchy spóźnione, starające się załatać sytuację. Miał być postawiony w Sejmie wniosek nieufności dla Naczelnika państwa, czy dla Naczelnego Dowództwa, planowany był podobno w związku z tem wyjazd prawicy sejmowej do Poznania, wśród oficerów w Warszawie brzmiały czas jakiś jeszcze agitacje zamachowe. Były to już wszystko odruchy na wpół przytomne. Moment izolacji obozu N-demokracji w narodzie zbliżał się nieuchronnie,

Po zwycięskiej wojnie naród uczył, że ma siłę,

poczuł szacunek dla żywiołów ją reprezentujących i odruchową niechęć do tych, którzy przeciw objawom i reprezentantom siły występowali, którzy w dniach walki i niebezpieczeństwa okazali tylko małoduszność, nerwowość i tchórzostwo.

Tendencje do izolowania w narodzie żywiołu n-demokratycznego objawiły się w wojsku, które mimo różnorodności swego składu dość nareszcie miało napaści na Wodza i Naczelne Dowództwo, podejmowanych ze strony najmniej praw moralnych do krytyki mającej. Wojsko reagować zaczęło w sposób poważny i pełen godności. Tendencje te objawiły się i w rządzie i w Sejmie nawet, tak dotąd podatnym na n-demokratyczne wichrzycielstwo. Wbrew planom rozbicia rządu obecnego, dokonana została jego rekonstrukcja, polegająca na tem, że prawie zupełnie izolowana została grupa n-demokratyczna, — o tyle, że tylko teka b. zaboru pruskiego pozostała w rękach męża zanfania N-Demokracji.

Wrzód zbiera się w jednym miejscu, nabrzmiewa, zaognia i izoluje.

Ale myliby się ten, kto by sądził, że pięknie szybko, lub szybko będzie mógł być przeciętym. Na treść tego wrzodu zbierają się jady, sączone w nasz organizm długimi laty niewoli, zbiera się treść najslabszych, troskliwie latami całemi hodowanych właściwości naszej duszy zbiorowej. Treści te, jady i właściwości długo krążyć jeszcze będą po naszym zbiorowym organizmie — i wyprzeć je będzie można tylko długą, systematyczną pracą. Pół do pracy tej jest tyle, że nigdy dość sił, dość chęci i zapału, aby je objąć. Nie tylko polityka. Wojsko, szkoła, życie ekonomiczne, administracja — oto tereny pracy budowniczej, która zarazem będzie miała rolę leczniczą do spełnienia. Bo wszędzie tam, gdzie budzić się, krzepnąć i organizować będzie siła pewna siebie i samodzielna narodu naszego, wszędzie tam braknąć będzie miejsca na żywioły taniej frazeologii i niewiary w siłę samoistną.

Ci więc, którym na sercu leży wielka przyszłość narodu, mają prawo do dobrych nadziei, ale jednocześnie mają kategoryczny obowiązek [wytężonej, systematycznej pracy — i cierpliwości.

Adam Płomieńczyk.



Dyplomacja Sowiecka.

[(Ciąg dalszy).

Ententa i Rosja w r. 1918.

Krótkowładztwo, bezczelność, bezsilność i rewolucyjno-agitacyjna obrona charakteryzują politykę Rosji Sowieckiej w r. 1918 w stosunku do Ententy.

Ale twierdzić, że, odwrotnie, polityka Ententy w stosunku do Rosji była polityką dobrą, sprawiedliwości i prawdy, lub chociażby polityką bez strachu i zarzutu lub poprostu polityką bardzo celową i przewidującą — byłoby pewną przesadą... Zaś jeżeli chodzi o kwalifikacje czysto fachowe—to dyletanckiej i młodej dyplomacji sowieckiej przypisać należy niewątpliwą wyższość nad zawodową, rutynowaną, starą dyplomacją koalicyjną. Pierwsza doprowadziła drugą do bankructwa w Rosji — niczem bowiem innym jak tylko bankructwem jest blokada Rosji i otoczenie jej „kordonem sanitarnym“ i z kolei sama przeszła do ofensywy politycznej przeciwko narodom państw koalicyjnych na ich własnym terytorjum.

Potrafiła przytem z niezwykłym powodzeniem znaleźć tam sojuszników i środki pomocnicze dla swojej akcji, wymacać słabe strony przeciwnika, znaleźć i wykorzystać jego błędy. A błędów tych było niemało..

* * *

Już pierwsza rewolucja rosyjska — marzec r. 1917 — ujawniła istotny stosunek Rosji do wojny wszechświatowej. Śmietanka polityczno-państwowa Rosji ówczesnej, — sfery konserwatywne i liberalne — pragnęła dochować wierności koalicji, wypełnić zobowiązania, doprowadzić wojnę do zwycięskiego końca, ażeby w ten sposób zlikwidować ją z maksymalną korzyścią dla Rosji. Pozatem, wwikłana w dyplomatyczną sieć międzynarodowych i państwowych interesów politycznych wyższej kategorii — szła drogą wojny siłą bezładną. Nie należy jednak zapominać, że sfery konserwatywne w Rosji zasadniczo niechętne były wojnie z Niemcami, że sfery te były germanofilskimi zawsze i że w czasie wojny niejednokrotnie szukały z niemi „czucia“. Sfery liberalne, jakkolwiek sympatyzowały zawsze z demokratycznymi Francją i Anglią, początkowo również przeciwne były wojnie (z tego powodu zawieszony był nawet w sierpniu r. 1914 przez rząd carski naczelny organ partji k.d. „Riecz“) i dopiero potem, bez zastrzeżeń popierały wojnę, w czem niemałą rolę odegrał взгляд, sformułowany przez Lloyd-Gorgéa, że naród rosyjski, rozbijając Niemcy, rozbiła własne swoje kajdany.

Zaś demokracja i lewica rosyjska nazajutrz po tryumfie rewolucji marcowej, wysunęła hasło natychmiastowego demokratycznego pokoju, bez aneksji i kontrybucji, bez zwycięzców i zwyciężonych. Odzwierciedlała w tem nastrój i gorące pragnienie ludu rosyjskiego, zmęczonego i wyczerpanego krwawą i niefortunną wojną, nie rozumiejącego jej wyższych celów, nie ubywającego zresztą i nie dorastające-

go do rozumienia nawet prostych konieczności państwowych. Lud ten atoli, uzbrojony i zrewoltowany uosobiony głównie w postaci armji bez dyscypliny, rządzonej przez rozmaite rewolucyjne sowiety i komitety, powstałe drogą wyborców a więc ściśle zależne od żołnierskich mas — lud ten stanowił potęgę, decydującą o państwowej polityce Rosji.

Sumując to wszystko, Piotrogrodzka Rada Delegatów robotniczych i żołnierskich, w marcu r. 1917 najwplywowszy czynnik polityczny w Rosji okresu Kiereńskiego, porywała się kilkakrotnie z inicjatywą powszechnego, demokratycznego pokoju. Rząd Tymczasowy tłumiał tę inicjatywę perswazją, której Rada piotrogrodzka, umiarkowana podówczas (mieli w niej ogromną przewagę mieńszewicy i socjal-rewolucjonści) ulegała. Na posiedzeniach poufnych, w najwyższym stopniu denerwujących masy swoją tajemniczością, Rząd Tymczasowy przedkładał Radzie argumenty, których treść sprowadzała się głównie do tego, że pokój odrębny rosyjsko-niemiecki sprowadzi karę ze strony Ententy, że narzędziem tej kary będzie Japonja, a rezultatem — utrata prestige'u państwowego, posiadłości azjatyckich Rosji i nieobliczalna w fatalnych dla Rosji skutkach wojna z Ententą.

Motyw ten był znany masom rosyjskim jeszcze z okresu panowania Mikołaja II. Było publiczną tajemnicą, że w r. 1916, po nominacji ministerjalnej zdecydowanego germanofila Borysa Stuermera, odwiedził cara ambasador angielski, sir Buchanaan, i że za próbę porozumienia się z Niemcami groził carowi, w imieniu koalicji, wojną z Japonją. Według pogłosek car odwrócił się wówczas plecami do posła angielskiego ale zmuszony był odpowiedzieć milczeniem zarówno na pogróżki jak i na ton, w którym były czynione. Tę samą bezwzględną postawę zachował jakoby sir Buchanaan wobec Rządu Tymczasowego. Podobne wieści krążyły w Rosji i nabierały cech prawdy, potwierdzały je bowiem fakty z wielu stron. Między innymi rozeszła się potwierdzona później dokumentalnie wiadomość, że ówczesny gabinet japoński barona Motono zdecydował stłumić rewolucję rosyjską już w Lipcu r. 1917, czyli za rządów Kiereńskiego. Miał to być odwet Ententy za niedość intensywne działania wojenne Rosji na froncie przeciwniemieckim.

Gróźb tych, które bez ochyby działały na rządy carskie i Kiereńskiego, nie ulegli się bolszewicy. Uważali je za fikcję. Wychodzili z założenia, że koalicja — w pierwszym rządzie Ameryka — nie pozwoli Japonji posunąć się zbyt daleko w głąb terytorjum azjatyckiego Rosji. Japonja brała najmniejszy udział i najmniej strat poniosła w tej wojnie, natomiast wzmocniła się dzięki niej niebywale. Dopuścić do okupacji terenów rosyjskich bez oporu a nawet z aklamacją Ententy znaczyło tyle prawie, co oddać tereny te w wieczyste władanie Japonji i jeszcze bardziej umocnić jej stanowisko na Wschodzie Azjatyckim. Ekspedycja karna i okupacyjna Japońska mogła mieć miejsce tylko przy udziale sił militarnych koalicji, do tyle znacznych, aby przy

zawieraniu pokoju nie potrzeba było wszczynać nowej wojny i w ten sposób wydzierać Japonii terenów okupowanych. Zważywszy na ogromne obszary rosyjskie i niezaabsorbowane wojną w Europie wielkie armje japońskie, Koalicja musiałaby dla ekspedycji tej wydzielić z pośród swoich armji siły, które przewyższały jej możność. W rezultacie obliczali bolszewicy, że sama Ententa powstrzyma Japonję od ekspedycji rosyjskiej. Tembardziej, że niejednolita polityka państw skoalizowanych w stosunku do Rosji sowieckiej ujawniła się odrazu w całej dysharmonji. Ameryka kategorycznie i oficjalnie wyrzekała się idei obalenia siłą rządów sowieckich, Francja polityczna dążyła do tego wszelkimi siłami, Anglja grawitowała między temi dwoma programami. Japonja gotowa była podjąć się misji zdławienia rewolucji w Rosji. Ale Rosja wogóle a Rosja rewolucyjna w szczególności, jako głosicielka samostanowienia ludów, była niebezpieczną konkurentką dla Japonji na całym uciemionym Wschodzie Azji. Stłumić rewolucję rosyjską, usunąć Rosję od wpływów na Wschodzie, znaczyło usunąć poważną tamę dla zakusów imperjalistycznych potężnego kraju wschodzącego słońca. Ameryka i Anglja nie mogłyby zaakceptować takiego, zupełnie nie odpowiadającego ich interesom, planu.

Wojna Ententy z Rosją w Europie? Na to znów trzeba by oderwania części sił zbrojnych, walczących przeciwko Niemcom, walczących przytem bez zdecydowanej przewagi efektywnej. Wojna orężna z Rosją była niemożliwością. Z drugiej strony względy polityczne nakazywały raczej powstrzymanie się od wypowiedzenia wojny Rosji sowieckiej. Drapieżna, grabieżcza agresywność ogłodzonych i ogoloconych Niemiec w stosunku do Rosji była do przewidzenia zgóry i mogła jeszcze spowodować Rosję do powtórnego orężnego wystąpienia jej przeciwko Niemcom. Tembardziej, że Rosja zawsze była taką w jeszcze większym stopniu. W dodatku lewica socjalna krajów koalicyjnych, której wpływy w czasie wojny wzrosły znacznie, opowiadała się stanowczo za neutralnością conajmniej. Zerwać z tą lewicą oznaczało zerwanie pokoju socjalnego („burgfriedenu“), na co nie poważylby się żaden rząd Zachodu.

Pozostawała wojna ekonomiczna, czyli dokładnie: przerwanie importu zagranicznego do Rosji. Faktycznie jednak import ten ustawał już za czasów Kiereńskiego. Zamieszki rewolucyjne, potęgujące anarchję gospodarczą zmniejszały do minimum zdolność kredytową rynku rosyjskiego. Przerwanie importu mogło być tylko dalszym ciągiem dokonywanego się procesu, może dotkliwą stratą, ale wcale nie gwałtownym i nieoczekiwanym ciosem.

Tak więc groźby ze strony Ententy były w rozumowaniu bolszewików fikcją. Natomiast, groźba ze strony potężnych, tuż u rubieży rosyjskich znajdujących się Niemiec była zupełnie bliską i realną. Bolszewicy, jako zwolennicy marksowskiej koncepcji realnego ustosunkowania sił i korzyści, jako wrogowie świata burżuazyjnego, po którym nie zamierzali dziedziczyć spadku w postaci fikcji prawnopństwowych i międzynarodowo politycznych i z fikcji tych płynących uciążliwych zobowiązań—zdecydowali się na pokój z Niemcami. Okazało się, że rozumowali słusznie—wszelkie pogroźki ze strony Ententy okazały się pogroźkami tylko. Żadna kara za zdradę koalicji nie dosięgła bolszewików. Desaut japoński, który 5 kwietnia wylądował we Władywostoku wraz z niewielkim oddziałem angielskim nie może być

poczytywany za cokolwiek choćby znaczną represję. Tak samo zresztą, jak późniejszy (w czerwcu tegoż roku) desaut angielski na północy, w Kemi, Sorokach i Murmańsku i francuski, który zajął niektóre miasta na południu Rosji i który został po krótkim czasie cofnięty ze względu na niebezpieczny ferment i demoralizację w szeregach oddziałów tego desauta.

Pokój sowiecko-niemiecki (traktat brzeski) został zawarty dnia 3 marca 1918 r. Jeszcze przedtem prezydent Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson nadesłał depezę gratulacyjną IV Zjazdowi sowietów, który usankcjonował zarówno przewrót bolszewicki jak i zasady polityki zagranicznej, jaką wobec Ententy i Austro-Niemiec stosować miał rząd Lenina—Trockiego. Zaś w jedenaście dni po zawarciu traktatu brzeskiego, czyli 14 marca, minister pełnomocny Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, poseł Dawid Francis oświadczył oficjalnie, że Ameryka gotowa jest okazać wszelkie współdziałanie Rosji sowieckiej w jej walce z koalicją niemiecką. Na stosunku Ameryki do Rosji sowieckiej zamierzamy zatrzymać się przez chwilę, pozwolimy sobie przeto przytoczyć jeszcze fakty następujące:

Czyczeryn w zupełnej zgodzie z rzeczywistością zaznacza, że *dyplomacja amerykańska* oraz część dyplomacji angielskiej, działającej na terytorjum Rosji Sowieckiej dążyła do wciągnięcia jej do walki z Niemcami w charakterze *sojuszniczki*. Część oficerów francuskich, członków rozmaitych misji wojskowych, funkcjonujących w Rosji, sympatyzowały z tą idea, którą jednak zupełnie odrzucał rząd francuski. Ten ostatni stał na stanowisku bezwzględnie wrogiemu stosunku do Rosji Sowieckiej i pragnął zdusić ją za wszelką cenę drogą interwencji wojskowej.

Jeżeli chodzi o zadokumentowanie tych twierdzeń Czyczeryna, to z zupełną oczywistością uczynić by to mogła *Biała księga amerykańska*, wydana — o ile nas pamięć nie myli — w lipcu r. 1918 przez poselstwo amerykańskie w Wologdzie. Księga ta jest zbiorem dokumentów, tyjących się stosunków sowiecko-amerykańskich i w znacznym jednak stopniu, pomagających, do orientowania się w całokształcie stosunków entento-sowieckich w ogóle. Niestety, księga ta stanowi u nas rzadki okaz bibliograficzny. Egzemplarz zaś, który był w posiadaniu piszącego te słowa, został mu skonfiskowany przez władze sowieckie (nb. odebrano mi podówczas wszystkie druki, jako zakładników w tej liczbie i wydawnictwa sowieckie z tem umotywowaniem, że właśnie wydawnictwa posłużyć mi mogą do agitacji antybolszewickiej).

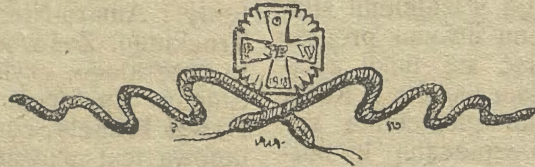
Wymiana noty, która miała miejsce we wrześniu r. 1918 pomiędzy rządem sowieckim z jednej strony a kosulem amerykańskim z drugiej, zawiera między innymi autentyczne i oficjalnie twierdzenie konsula amerykańskiego p. Porla, o tem, że naród jego *nie zamierza usiłować obalić władzę sowiecką*. Do powyższego jako ilustrację, dodać należy jeszcze fakt następujący: władze sowieckie, które na każdym kroku brutalnie gwałciły obowiązujące normy prawa międzynarodowego, zwyczajów i etykiety dyplomatycznej, musiały w konsekwencji natknąć się na stosunek do siebie taki, na jaki całkowicie zasługiwały — jako do bandytów poprostu. Wzmogły wówczas jeszcze bardziej haniebny swój zwyczaj, barbarzyński, średniowieczny, choć wznowiony przez niektóre mocarstwa w czasie ostatniej wojny wszechświatowej — mianowicie, zwyczaj pobierania zakładników. W myśl drapieżnej, elementarnie terrory-

stycznej praktyki Sowietów, zakładnicy stanowili jeden z najważniejszych atutów w stosunkach międzynarodowych. Przytoczymy przeto, w związku z poruszonymi powyżej stosunkami amerykańsko-sowieckimi następujący ustęp ze sprawozdania Czyczeryna, poświęconego wymianie zakładników w końcu r. 1918: „Najwięcej kłopotów dyplomatycznych przyczyniła nam kwestja wymiany dyplomatów Ententy. Do sprawy tej wmieszał się cały szereg misji i konsulatów neutralnych, przyczem interwencja ich doprowadziła do tego, że wzamian za tow. Litwinowa i innych

naszych towarzyszków w Anglii, zmuszeni byliśmy wypuścić również i francuskich przedstawicieli dyplomatycznych i konsularnych. Francuska misja wojskowa została w Rosji w celu wymiany jej na żołnierzy naszych, pozostałych we Francji. *Przedstawicielstwo amerykańskie wypuściliśmy bez wszelkiej wymiany wobec odrębnego stanowiska, które w stosunku do nas zawsze zachowywały Stany Zjednoczone, czego oczekiwaliśmy również w przyszłości i co do czego nie zawiedliśmy się.*

D.C.N.

M. Weronicz.



U W A G I.

Zniesławiać postów w mundurach.

Bardzo osobliwie dla przypadkowego widza przedstawia się rozmieszczenie mundurów po sali sejmowej. Wśród „antynarodowych“ socjalistów — kilka mundurów, wśród „wątpliwych“ pod tym względem ludowców różnych odcieni i enpeerowców garść spora, jeszcze w prawem centrum tu i owdzie mundur się trafi — a na prawicy, na tej jedynie narodowej, prawdziwie narodowej, „demokratyczno“ i „ludowo“ narodowej prawicy — ani jednego.

Jakże to wytłumaczyć?

A cóż?... Widocznie noszenie mundurów, wkładanie go w czasie największego wysiłku zbrojnego narodu, jest czemś z „narodowego“ punktu widzenia podejrzaniem. Jest tem na pewno, jest tem zupełnie oczywiście. Dla zamaskowania swych antynarodowych poczynań włożyli mundur Moraczewski, Fichna, Jan Dębski — i dla czczego pozoru. Dla pozoru nawet zginął na polu bitwy Napiórkowski.

Dalej więc — rozbić trzeba tę intrygę i postów noszących mundury zniesławiać — jaknajbardziej zniesławiać!

Taki Moraczewski!

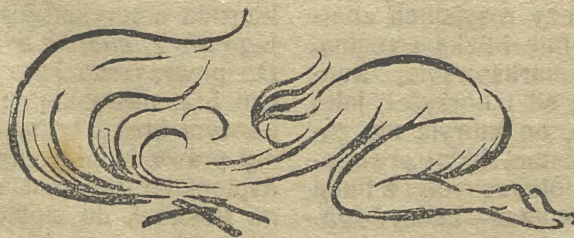
Jest socjalistą, co więcej — służył w Legjonach które były „dynastyczną formacją habsburską“, co więcej — był członkiem rządu lubelskiego, co jeszcze więcej — był pierwszym prezydentem ministrów państwa polskiego! I taki Moraczewski poszedł do wojska, walczył w linii, podany został do krzyża waleczności przez dowódcę swego saperskiego oddziału, bronił Modlina i Włocławka!

Dalejże — zniesławiać!

— Moraczewski poto poszedł na front, by uciekać, uciekał, na pewno miał ze sobą specjalnie na ten cel przygotowaną bryczkę! — piszą różne „dwugroszówki“ stołeczne i prowincjonalne.

Zbyt cierpliwie czyta te rzeczy wojsko i władze wojskowe. Bo oficer — choć jest on osobą polityczną, choćby działalność jego miała być nawet zwalczana — jest oficerem.

A oficera rozmyślnie zniesławia ten, kto wogóle nie szanuje ofiarnej i owocnej pracy wojska polskiego.



Ż. Winiarski 1919



ZOŁNIERZ POLSKI

Z dni wielkich klęsk i wielkich zwycięstw.

I.

Dwuletnia prawie wojna z bolszewicką Rosją skończyła się dla nas bardzo pomyślnie. Preliminarja pokojowe dają nam znaczne korzyści terytorjalne, określają dokładnie naszą granicę wschodnią i umacniają położenie polityczne Polski na wschodzie.

Naturalnie nie można dzisiaj nic powiedzieć o trwałości tego pokoju, czy bolszewicy po rozbiciu wszelkich oddziałów kontrrewolucyjnych, nie zechcą znowu zwrócić się przeciw Polsce, by narzeczcie urzeczywistnić swoje wielkie plany o zmianie socjalnego porządku w Europie. Nikt nie wie dzisiaj, czy na wiosnę nie będziemy zmuszeni do prowadzenia nowej wojny—jeżeli nie na wschodzie, to może na zachodzie. Niejasna wcale sytuacja polityczna zmusza nas do nieprzerwanej, bardzo wyłożonej pracy nad udoskonaleniem naszego narzędzia wojny, naszej armji. Czeka nas tutaj zadania olbrzymie, wymagające wielkiego nakładu energii i pracy, bo przecież końcowe nasze niewątpliwe zwycięstwa, nie powinny nas zaślepić co do wartości naszej armji, nie powinny osłabiać naszego krytycyzmu.

Musimy dobrze sobie uświadomić, że armja nasza daleką jest od doskonałości, że nie jest ona jeszcze bynajmniej narzędziem wojny, któreby zaspokoilo wszystkie wymagania, że ostatnią wojnę przedewszystkiem dlatego mogliśmy wygrać, że walczyliśmy z nieprzyjacielem zdemoralizowanym, źle ubranym, źle uzbrojonym, źle prowadzonym i jeszcze gorzej wyszkolonym. Naturalnie nie chcę przez to obniżać nieporównanej wartości naszego żołnierza, obdarzonego od przyrody bogactwem cnót wojskowych, nie chcę pomniejszyć zadziwiającego i olbrzymiego wysiłku ostatnich lat dwu nad stworzeniem armji. Ale jest to wszystko zaledwie dobrym początkiem. Musimy szkolić i kształcić armję, nie do takiej wojny, jaką mieliśmy na wschodzie,

ale do wymagań tej wojny, jaka toczyła się w 1918 roku, na terenie północno-zach. Francji.

Jakkolwiek doświadczenia z wojny polsko-bolszewickiej są i będą bardzo pouczające, to nie mogą być wyłącznie miarodajne w tworzeniu i budowaniu naszej armji. Wojna ta będzie pouczającą, pod jednym szczególnie względem, mianowicie pod względem moralno-psychologicznym. W każdej wojnie czynniki moralne odgrywają ogromną rolę. Moralność żołnierza, jego zapał, zdolność do poświęceń, niejednokrotnie rozstrzygało o wielkich zwycięstwach albo klęskach. Żelazna dyscyplina—doskonałe wykszolenie, potężne środki techniczne, mogą zastąpić częściowo brak tego, co nazywamy moralnością żołnierską. W tych wypadkach, gdzie wojsko jest słabo wyposażone technicznie, gdzie walka toczy się przy zastosowaniu najprostszej broni, moralność żołnierza nabiera znaczenia decydującego. Zaznaczyło się to wszystko w ciągu ostatniej kampanji bolszewicko-polskiej, gdzie czynniki moralne odegrały tak wybitną rolę. Wystarczyła nieraz tylko inicjatywa, najprostsze okazanie zamiarów ofensywnych, by przeciwnika, nieraz liczebnie silniejszego, zmusić do panicznej ucieczki. Pod tym względem wnioski z wojny bolszewicko-polskiej są szczególnie pouczające i mogą nam dostarczyć cennych wskazówek co do braków i zalet naszego wojska.

By kwestję tę choć częściowo wyjaśnić, musimy przedewszystkiem zastanowić się nad przyczynami naszych wielkich klęsk i niepowodzeń w czerwcu i lipcu roku bieżącego, które o mało nie wpełnęły Polski w przepaść.

Oczywistą jest rzeczą, że uwagi moje w tej materji nie mogą być wyczerpujące, że nie mogę o wielu sprawach mówić swobodnie, gdyż są one do dziś dnia tajemnicą wojskową, ani też nie będę poruszał bardzo drażliwych kwestyj personalnych, bo i te należy odłożyć ad calendas graecas. Dotknę tutaj ogólnikowo tylko najważniejszych przyczyn

które spowodowały katastrofalny odwrót naszej armji z nad Dniepru po Wisłę.

Przyczyn tych było bardzo wiele i dzisiaj nie można tak skomplikowanego zjawiska, jakim było załamanie się naszego frontu w czerwcu i w lipcu, sprowadzić do jednego mianownika, a zwłaszcza pokazać palcem tych, którzy najbardziej zawinili. Nim przejdę do zanalizowania przyczyn naszego odrotu na Wisłę, postaram się zanalizować naszą sytuację bojową wiosną 1920 roku i przedstawić istotę i przebieg wyprawy kijowskiej, która miała dla wszystkich późniejszych wypadków znaczenie pierwszorzędne.

Jesienią 1919 roku armja polska po roku marszów i zwycięskich walk dotarła do Dźwiny, Bereżyny, Uborci, Słucza i Horynia, przez zimę umocniła się na tej linii i przygotowała do kampanji wiosennej 1920 r. Walki roku 1919 miały swoisty charakter. Celem każdej operacji bojowej było przede wszystkim opanowanie ziem, należących niegdyś do Rzeczypospolitej i wyrzucenie z tamąd oddziałów bolszewickich. Walki prawie zawsze miały dla nas przebieg pomyślny, już to dzięki dużej wartości bojowej naszego żołnierza, już to dzięki temu, że w roku 1919 dla bolszewików front polski posiadał drugorzędne znaczenie, — mieli tam niewiele wojska, i to nie oddziały doborowe. Bolszewicy byli zajęci wówczas Kołczakiem, Judeniczem, Denikinem. Wszystkie nasze operacje osiągały przede wszystkim doniosły skutek polityczny, jak opanowanie Wilna, Mińska, Dźwińska i t. p. A ze skutków politycznych ogół wnioskował o doniosłości militarnej danej operacji, z czego dalej wyprowadzano wnioski, może przedwczesne, o doskonałości i bojowej sprawności naszej armji.

W lutym r. b. przyszło do wymiany not w sprawie zawarcia pokoju między Rosją a Polską. Jednakże prędko się okazało, że bolszewicy nie mają szczyrych zamiarów pokojowych, że chodzi im tylko o zysk na czasie, by z wiosną wszystkimi siłami uderzyć na Polskę.

Naczelne Dowództwo widząc, że pracą dyplomatyczną nie udaje się sprowadzić pokoju, postanowiło wymusić go mieczem. Bo zdawało sobie dobrze sprawę, że szybkie zakończenie wojny jest niesłychanie potrzebne dla kraju i zresztą nie widziało istotnej potrzeby kontynuowania wojny. Siły, jakimi rozporządzała Polska wiosną, były najzupełniej wystarczające do tego, by pokonać takiego przeciwnika, jakim byli bolszewicy, — tymbardziej, że po ratyfikacji traktatu wersalskiego i zajęciu Pomorza, utrzymanie silniejszych oddziałów na naszej granicy zachodniej stało się zbyt ciężkim i bezcelowym. Wszystkie więc rozporządzalne siły można było skupić na froncie wschodnim. Przegrupowanie uskuteczniło w ciągu lutego i marca i w dniu 1 kwietnia od Dźwiny aż po Dniestr stało 5-ć polskich armji gotowych do walki. Na wielkim, olbrzymim froncie mieliśmy wprowadzić tylko 18-cie dywizyj piechoty i kilka brygad jazdy, lecz było to wystarczające na potrzeby frontu wschodniego. W kwietniu bolszewicy punkt ciężkości przesunęli na odcinek południowy i koło Wielkiejnocy dość uporczywie atakowali nasze pozycje nad Słuczą i Uborcią. Ofensywne zamiary bolszewików zostały zupełnie pokrzyżowane. Naturalnie były to tylko ze strony wroga silniejsze dywersje, gdyż wszystko wskazywało na to, że przygotowuje się on do operacji na wielką skalę. Naczelne Dowództwo wychodząc ze słusznego i zdro-

wego założenia, że atak jest najlepszą obroną, postanowiło nie czekać na ofensywę bolszewicką, ale przejść możliwie szybko do energicznego natarcia i utrzymać inicjatywę we własnym ręku. Atak i inicjatywa są wszak najważniejszymi elementami powodzenia bojowego.

Wchodziliśmy w nowy okres kampanji z bolszewikami — zaczynała się prawdziwa wojna.

Teraz celem każdej operacji musiało być przede wszystkim pobicie i zniszczenie sił żywych przeciwnika, a nie wypychanie go tylko z pewnego obszaru. Naczelne Dowództwo stawalo wobec niezmiernie ciężkich zadań, gdzie, w jakim kierunku można będzie uderzyć, by przeciwnikowi zadać cios jaknajwiększy, osłabić go jaknajbardziej i przez to uczynić go skłonniejszym do zawarcia pokoju.

W swoich zamiarach operacyjnych Naczelne Dowództwo było krępowane także względami natury politycznej. Każdy bowiem plan operacyjny połączony jest z ruchem naprzód i zajmowaniem pewnych terenów. Wojska polskie stały przeciw prawie na historycznej granicy Rzeczypospolitej i marsz naprzód zaprowadziłby je w kraje obce, zamieszkałe przez ludność usposobioną do nas nieprzychylnie. W opinii Europy byłby to nowy objaw przysłowiowego polskiego imperjalizmu, a społeczeństwo niechętnie patrzyło na zbyt daleką naszą ekspansję na wschód. Dwie były możliwości uderzenia: kierunku północny na Witebsk i Smoleńsk i południowy na Kijów. Uderzenie w kierunku północnym następczo olbrzymie trudności. Armje nasze wchodziłyby w kraj silnie zniszczony, opustoszony, pozbawiony środków komunikacyjnych i zamieszkały przez ludność rdzennie rosyjską, albo silnie zrusyfikowaną i wrogo do nas usposobioną. Nasze lewe skrzydło wydłużałoby się nadmiernie i byłoby bardzo trudne do obrony, tymbardziej, że zamiary Litwy były wciąż niewyraźne. Przytem utrata Witebszczyzny i Smoleńszczyzny nie przedstawiała dla bolszewików większego znaczenia. Wreszcie w końcu kwietnia i w maju bolszewicy nie mieli jeszcze zbyt dużych sił na północy.

Wszystko natomiast przemawiało za uderzeniem w kierunku na Kijów:

1) Bolszewicy przesunęli na Ukrainę punkt ciężkości swych operacji (w kwietniu i w maju).

2) Armje polskie, posuwając się przez Ukrainę, maszerowałyby przez kraj bardzo bogaty i z łatwością mogłyby się wyżywić, a nasze prawe skrzydło miałoby zawsze oparcie o neutralną Rumunję.

3) Dla bolszewików utrata Ukrainy byłaby ciosem dotkliwym, gdyż kraj ten mógł dostarczyć im fak potrzebne zboża.

4) Proklamowanie samodzielnej Ukrainy będąc zgodne z naczelnymi naszymi racjami politycznymi, usposabiałoby przytem przychylnie dla nas ludność ukraińską, zabezpieczało nam tyły i dawało w zysku jakiegoś takiego sprzymierzeńca w postaci armji ukraińskiej.

5) Przez proklamowanie niezależnej Ukrainy strategiczny nasz marsz na Kijów nie mógł być interpretowany jako objaw imperjalizmu.

Takie były momenty, które, według mnie, zdecydowały o wyprawie na Kijów. Była ona przede wszystkim operacją o znaczeniu strategicznym, i wcale nie jest prawdziwym, jak to twierdzi pewien odłam opinii, że przy zdobyciu Kijowa względy polityczne zadały gwałt koniecznościom strategicznym. Gdyby nie tworzone nawet Ukrainy niepodległej,

to i tak wyprawa na Kijów musiałaby przyjść do skutku. gdyż była dyktowana najwyższymi koniecznościami wojskowymi. Nie ulega wątpliwości, że pod względem militarnym była ona dużym ryzykiem,

ale w każdej wojnie mało jest zdaje się przedsięwzięć, nie połączonych z ryzykiem większym lub mniejszym.

(c. d. n.)

T. R.



W piątym pułku legjonów.

Nasi przeciwnicy.

I.

Po raz pierwszy zobaczyłem bolszewików na stacji kolejowej w Lublinie. Opuszczaliśmy dworzec warszawski w chwili dla stolicy najgroźniejszej, w momencie największego zbliżenia przeciwnika, z 14 na 15 sierpnia, a w parę dni, wypełnionych całkowicie drogą, znaleźliśmy się w obliczu żywych dowodów upadku wroga. Nie zapomnę nigdy pierwszego wrażenia, które odtąd umacniało się we mnie. Na dworcu lubelskim stała spędzona, jak gdyby w jeden kął stłoczona, masa szaropiaszczystych twarzy i płaszczów. Bezbarwne, spłowiałe, nędzne i zatrwożone zwierzę ludzkie, wówczas jeszcze pełne strachu i wyczekiwania rzeczy najgorszych i niedowierzające sobie, że to najgorsze już minęło, schodzące z drogi i potulne, ciemne i bezsilne, a zwłaszcza wyglądniałe i wynędzniałe stworzenie, mówiące głosem ludzkim, a do człowieka niepodobne, takim był ów straszny przeciwnik, widziany z bliska — w dniu jego klęski. Takim pozostał do końca *).

Taktyka naszego dowództwa polegała na tym, ażeby nawet wtedy, kiedy zdecydowanych, czy stanowczych walk nie było, demoralizować przeciwnika, nękać go i niszczyć moralnie — doprowadzając go do stanu zupełnego zdenerwowania, które może się wkraść w szeregi nawet wojsk najlepszych. Przez nieustanne nocne wypadki, przez zdobywanie miast i wsi, które się nazajutrz opuszczało, by wciągnąć wroga z powrotem tam, gdzie był wczoraj i gdzie wypędzony jutro znowu będzie musiał się zjawić za dni kilka, przez wycieczki małych oddziałów na

wysunięte placówki nieprzyjaciela dniem i nocą, dowództwo nasze stwarzało pod Grodnem stan stałej niepewności dla wroga. Żołnierz bolszewicki w każdej chwili liczył, że znajdzie się wojsko nasze przed nim, a może i za nim — i nie był w stanie zdobyć się na jakiś energiczny odpór.

Z podobnie zdemoralizowanym przeciwnikiem mieliśmy do czynienia pod Lidą. Zachodziliśmy go od strony północno-wschodniej, gdzieś głęboko na jego tyłach, odcinając wojska już wycofane na Mołodeczno, Mińsk i Baranowicze od mas bolszewickich, spieszących z południa-zachodu, a pędzonych od Grodna przez inne nasze grupy. Wróg cofał się pod naciskiem naszej armji, spieszył, by wydostać się z matni, której istnienia się spodziewał, i znajdował przed sobą zapórę. Bronił się, albo raczej przebiegał, lecz w masach swych żołnierskich nie wierzył w możliwość powodzenia. Psychicznie już był zwyciężony, i szedł tylko pod naciskiem rozkazu,

Wreszcie i w fazie ostatniej, w okresie pościgu, za cofającym się na południe przeciwnikiem, który, jak pisano miał się umocnić nad górnym Niemnem, a który naprawdę niszczył przeprawy przez Niemen, Serwecz, Uszę i Dzitwę i wszelkie wogóle strumyki, wojska nasze tuż tuż nacierały na bolszewików, goniąc im po piętach, chwytając ich oddziały tylne, zamykając odwrot zabłądzonym, rozbijając pancerkę i t. p. Wróg się cofał spokojnie, bez paniki, broniąc się i osłaniając swe tyły, wydobył znaczne części swych taborów, nie poddał się bezładnej ucieczce, trzymał zatym swego żołnierza jeszcze mocno, lecz żołnierzowi temu nie mógł wlać w duszę wiary w możliwość oporu. Sytuacja jeszcze się pogorszyła od chwili rozpoczęcia rokowań w Rydze: żołnierz bolszewicki czekał wieści o rozejmie z drżeniem, zapowiadał codziennie zahamowanie działań wojennych i trzymał się tylko przeświadczeniem, że jeszcze parę dni wysiłku, a wszystko się skończy. Taki żołnierz już oczywiście przeciwnikiem nie był.

Demoralizacja wszczepiona przez naszą taktykę pod Grodnem dała rychło swoje owoce. Żle wyćwiczony i świeżo spędzony z różnych części Rosji żołnierz bolszewicki nie wystawiał posterunków i nie umiał bronić się przeciw nocnym napadom. Początkowo się opierał, wyzyskując czasem położenie geograficzne, zajmowane przez siebie poleżenie geograficzne, zajmowane przez siebie wzgórza, dominujące nad nizinami mokradłami

*) W ciągu dwóch miesięcy pobytu mego na froncie znajdowałem się w obliczu armji, działających tylko na północy: we wrześniu pod Grodnem, pod koniec tego miesiąca i w październiku pod Lidą i nad górnym Niemnem. W ciągu tego okresu pułk nasz miał do czynienia, o ile oprócz się na własnej obserwacji i na obserwacji innych, znajomych mi żołnierzy, tylko z armjami z poboru. Komunistycznych oddziałów nie było, nie było zatem ochotniczych formacji, na których podobno opierała się cała siła nacisku bolszewickiego. Sąd więc mój z natury terenu jest ograniczonym. O charakterze bojowym przeciwnika nie mogę również wyrokować, zbyt skromnym jest moje osobiste doświadczenie i moja wiedza wojskowa. Ograniczam się zatem tylko do wrażenia.

i terenami błotnistymi, przez które musieli brnąć ku nim nasi żołnierze. Później opór słabł: hura! naszych oddziałów, zjawiających się w pobliżu stodół, które zajmowały baony bolszewickie, wymiana pojedynczych strzałów i cała „rota“ szła do niewoli, rzucając „wintowki“.

Walka pod Lidą była cięższa. Rosjanie szli wielką masą i usiłowali samą masą przedostać się przez stawianą im przeszkodę. Odcinając im odwrót wojska nasze były same odcięte i z prawej i z lewej strony od łączności z innymi grupami, wisiały jak gdyby w powietrzu, mając i za sobą, i przed sobą wroga. Nie dochodząc do Lidy już starły się z poszczególnymi oddziałami bolszewików, które po krótkiej walce składały broń. Lidę zajęły po ciężkim boju, spychając nieprzyjaciela w kierunku jego punktu wyjścia. A po zajęciu miasta wytrzymać musiały przez pierwszą połowę nocy, do końca 28 września, nieustanne ataki i kanonadę armatnią bolszewików. Przekonawszy się o niemożności przełamania oporu, wróg od północy (29-go) przestał atakować, przestał wierzyć w możliwość walki. Żołnierze jego rzucali broń. Byli złamani, zaczęli się masowo poddawać. Bitwa się skończyła. Setki, potem tysiące jeńców płynęły do miasta. Poranne słońce, z trudem przebijające opalowe, już jesienne mgły, oświetlało dziwnym światłem wielki podwórzec zamku Gedymina, wypełniony tym samym szarym tłumem jeńców których widziałem poraz pierwszy w Lublinie. A tymczasem, szły coraz to nowe rzesze jeńców, szły bez końca przez cały ranek i południe, dn. 29 szły wciąż, wlewając się we wnętrze zamku twórcy potęgi litewskiej, nawet wtedy, kiedy zerwani rozkazem dowództwa ruszaliśmy dalej w kierunku południowo-wschodnim, w pościgu za cofającym się nieprzyjacielem.

I tu poraz pierwszy natknęliśmy się na prawdziwego przeciwnika. Cofając się z rozbitym moralnie żołnierzem, bolszewicy nie wypuszczali z rąk swoich inicjatywy obrony, niszczyli mosty, wstrzymywali nacisk, mocno gryźli nadciągające wojska nasze, stopniowo w miarę posuwania się naprzód słabnąc w oporze. Pierwszego zaraz dnia spotkali nas nadciągających na Sielce mocnym ogniem maszynek i karabinkami, którymi w ciągu kilku godzin zasypywali wycelowany wprost na zerwane przez nich mosty trakt i skręcającą wzdłuż Niemna w tym miejscu ulicę główną miasteczka, przez nas w nocy zajmowanego. Wycofali w ciągu dnia ubiegłego swoje siły, które podobno trzema szeregami walili i od Bielicy i od Lidy przez kilka dni z rzędu, wysadzili w powietrze mosty, zbudowane w ostatnich czasach z wielkim nakładem pracy—żelazny most kolejowy, był jeszcze przez nas wysadzony za poprzedniego odwrotu—i opóźnili nasz pościg conajmniej o godz. 12.

Drugim ciężkim momentem było forsowanie przejścia przez Serwecz, równocześnie dokonywane w miejscu głównym wprost Korelicz przez 1 pp. leg. na lewo wprost Krasnego Siela przez 1/5 pp. leg. Zajmując dawne okopy jeszcze z czasów wojny niemieckiej, pustoszyli bolszewicy nadciągające kompanie dzielnego 1 pułku. Następnie cofając się skutkiem równoległego oskrzydlenia z prawej strony i z lewej, gdzie mimo dojmującego zimna, i ostrego wiatru, 1 baon naszego pułku, zrzucał ubranie nago pod ogniem przeciwnika zdobywał rzekę, znaczyli powolny swój odwrót dziesiątkami rannych i zabitych naszych i swoich, oraz setkami jeńców, pozostawionych w naszym ręku. Tamże zniszczyli oso-

bliwy w tym miejscu most na Serweczu. Długa kilkukilkiwiorstowa tama pomiędzy moczarami, zakończona szerokimi i długimi mostami po obu końcach na dwu korytach rozlewających się w błotnistą dolinę—miała obecnie zniszczone częściowo oba dostępy. Od Korelicz most był zerwany po stronie bolszewickiej, na drugim końcu tamy pomiędzy tamą a mostem otwierała się niezbyt zresztą głęboka przepaść.

Rzucona obok mostu kładka z jednej deski, pozwoliła wojskom naszym po kilkugodzinnej przerwie pospieszyć za nieprzyjacielem i w porę dogonić go nad Uzą. Krótka stanowcza walka poprowadzona przez karabiny maszynowe 1/5 pp. Leg. na wzgórzach dominujących nad rzeką, potym uderzenie na most i bohaterski czyn ppor. Lipki, wyciągającego palący się lont z mostu, uratowały przejście i pozwoliły wojskom naszym dostać się dnia tego po forsownym marszu do Miru.

Nazajutrz — mieliśmy zająć przeprawę przez Niemen pod Mikołajowaczyną. Po drodze wspaniały pojedynek pomiędzy naszą artylerią polową, ustawioną na wzgórzach wiodących do linii kolejowej i na samym torze szlaku Mińsk-Baranowicze, a pancerką, trafioną za trzecim strzałem rozbijającym jej parowóz. Obsada jej mimo to ostrzeliwała naszą pozycję i nadciągające oddziały piechoty, zdążyła w powietrze wysadzić wozy z amunicją i całkowicie wycofała się z pociągu. Przeprawę pod Mikołajowaczyną zajęliśmy; nieprzyjacieli jednakże zdążył się i tu wydobyć, zostawiając zaledwie kilkuset jeńców w naszych rękach.

Wreszcie ostatni lup—już po podpisaniu preliiminarzy pokojowych—„zafasowany“ w drodze z pod Turca do Radoszkowic i Zabrzezia: cały pułk bolszewicki tym razem już niezdolny do oporu i wysiłków, jak poprzednio. Żołnierz bolszewicki skończył swoje zadanie, z chwilą kiedy dowiedział się, iż rozejm podpisano—do momentu wejścia w życie rozejmu na posterunku trwać nie umiał.

Dla całego owego okresu walk jesiennych przygrywki pod Grodnem i naszej ofensywy, zaczętej 15 września, a zakończonej ustaleniem się linii rozejmowej, symptomatycznym specyficznym zjawiskiem będzie nie bolszewik—walczący, lecz jeńiec bolszewicki, liczący się na setki, dochodzące do tysięcy w pierwszym okresie, liczący się na tysiące i dziesiątki tysięcy pod Lidą i znowu w nieustannie rosnących setkach brany w fazie trzeciej. To też myśląc o bolszewikach dzisiaj, widzę zawsze owe niekończące się sznury coraz to nędźniejszych postaci od pierwszego zetknięcia w gorący dzień sierpniowy w Lublinie, aż do ostatniego spotkania w smutny wieczór zimowy w Lidzie: szli drogą dworcową, zziębnięci, zawinięci w swe szmaty, bezbronni, deptali bioto coraz czarniejsze, zasypywani gęstymi płatkami śniegu, który nie bielił, lecz jeszcze bardziej szarzył zszarzone ich postacie!

Widziałem ich wielu, rozmawiałem z bardzo wielu — spotykałem wyłącznie poborowych i wśród szeregowców i wśród szarż, pochodzących ze wszystkich stron, z Syberji, z północy, z Litwy, z Wołynia i Ukrainy; brakło tam zupełnie żywiołu ochotniczego i elementów centralno-wielkorosyjskich. Przeważali obcy: i Białorusini i Ukraińcy na pierwszym miejscu, potem szli różni kresowcy—z Kaukazu np., dawni oficerowie Kołczaka i Denikina, dziś napółdobrowolnie, napółprzymusowo wciągnięci do służby, Kozacy i Lezgini, całe owo etnograficzne muzeum nad którym po dawnemu pragną panować

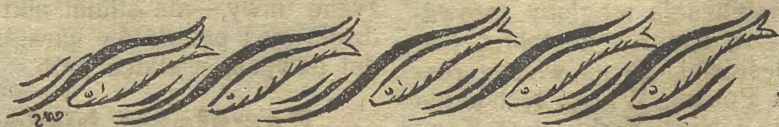
ci z centrum Rosji. Komunisty nie spotkałem ani jednego.

Nastroj żołnierza w niewoli musi być zawsze ciężki: nawet—walczący za cudzą sprawę człowiek z godnością—przez niewolę czuje się w swej godności upokorzonym. Inaczej wyglądał jeńiec bolszewicki: z wyjątkiem Ukraińców, wszyscy inni pozbawieni szczypty osobistej godności, płaszczyli się i w podłości nawzajem siebie prześcigali. Każdy z nich „zaiskiwał i podliczał“ mówiąc ich językiem, każdy zapewniał o tym, że siłą go wzięli do wojska, że on wojny nie chciał, że unyślnie się poddał i t. p. Może w tym i była prawda, lecz ta szczerość, nieraz cyniczna—miast współczucia, które wywołać pragnął ten urodzony „rab“ w człowieku wolnym wywoływać musiała tylko pogardę. Nie zapomnę wrażenia, jakie odniosłem w Białymstoku, jeszcze w sierpniu. Wojska nasze przed paru dopiero dniami zajęły miasto, walki odbywały się jeszcze w jego promieniu. Któregoś dnia sprowadzono na dworzec, gdzie na rampie stały w równym szeregu zdobyte polówki rosyjskie, świeżo przez kawalerję naszą pod Sokółką zagarniętą artylerję bolszewicką. Od miasta zajeżdżała w pełnej uprzęży, z nietkniętą amunicją, powożona przez własną obсадę swoją baterja nieprzyjacielska: zajechała i ustawiła się w szeregu już stojących dział. A żołnierz rosyjski z najzimniejszą krwią zaczął upewniać, śmiejąc się w swej szczerości, że ma dosyć wojny i nie chce się dawać ani głodzić, ani zabijać. Rozumiałem pożytek tego nastroju dla nas, jako Polak; jako człowiek, chciałem plunąć w pysk temu niewolnikowi.

Niewolnikiem bowiem był on i w niewoli i na wolności. Z chwilą kiedy się dostał do nas, nie znajdował słów nienawiści przeciwko bolszewikom i żydom. A z tych jego ostrych wystąpień przeciw komunistom wyzierał nie tylko lęk przed nami, wyzierał nieprzeparty strach przed własnym komisarzem. Jeden bezbronny człowiek, komisarz, trzymał w garści cały pułk — i jego dowództwo i jego podkomendnych. Wszystko przed nim drżało: i on kierował z poza pleców pułkownika, on rządził wszystkim. Nikt nie śmiał mu się przeciwzić. Na zapytanie, czemu pozwalaliście się terroryzować pojedynczym ludziami, jeżeli są wszyscy waszych poglądów, jeżeli posiadacie broń, jeżeli was głodzą i posyłają na śmierć, jeżeli komisarze dbają tylko o siebie, otrzymałem bardzo charakterystyczną odpowiedź. „Jakże możemy się zbuntować, przecież jeżeli zabijemy naszego komisarza, to oni — nie wiadomo tylko o kogo chodzi—to oni zemszczą się na na-

szych rodzinach, to oni zabiorą nam ziemię i t. d.“. Strachem niewolników niezdolnych do oporu, i zdecydowaniem przywódców, gotowych do wszelkiego gwałtu, trzyma się cała armja i cały system państwa carów czerwonych. Nie terror faktyczny, a terror psychiczny jest więzią nowego ustroju, który pod względem istoty swojej spistości jest bezpośrednim spadkobiercą dawnego, odziedziczonym po szeregu stuleci.

Jakim był prawdziwy stosunek bolszewików do nas, określić nie mogę. Szli oni wszyscy „w|Warszawu“. Tam miał być koniec udręki wojskowej i niedojadania, miał być chleb, cukier i kobiety. Powodzenia ich, mimo pewnego zapalu, trochę dziwiły ich samych. Późniejsza klęska wydawała im się zupełnie naturalną. Bali się „pańskiego“ wojska, przedewszystkiem dla tych wszystkich okropności, które u nich rozpuszczano o postępowaniu w naszym wojsku z jeńcami. Łagodności naszego żołnierza dziwili się bardzo i mimo niewoli przyznawali się do niesłychanych łotrostw, dokonywanych na jeńcach przez siebie wziętych, zresztą całą odpowiedzialność za ten sadyzm zwałając na swoich komisarzy. Stopniowo, wśród bolszewików utrwalalo się przeświadczenie, że niewola u nas to ratunek dla pragnących utrzymać się przy życiu. Nasza propaganda robiła swoje. „Propusk w plen“, wyrzucany przez nasze aeroplany, zapewniający bezpieczeństwo tym, którzy w ciągu dni 10 oddadzą się do niewoli, działał magicznie: chowali go skrzętnie i okazywali z chwilą pochwycenia przez nasze patrole. Pod koniec wiedzieli również, że kto się sam oddaje do niewoli, podlega innym warunkom, niż zwykły jeńiec, i domagali się, aby notowano ten szczegół w ich papierach ewidencyjnych. Byli wśród nich i tacy, którzy naprawdę pragnęli dostać się do nas, uważając niewolę za etap, prowadzący do Wrangla. — Czystej krwi czarna sotnia, doskonali oficerowie w walce z nami w okresie ofensywy, z chwilą załamania się szczęścia wojennego przechodzili na naszą stronę, licząc na solidarność „białych ideałów“. Zarówno oni, mimo niezaprzeczonej dzielności bojowej osobistej, jak i szary tłum nędzarzy rosyjskich, którzy bali się wojny, jak piekła, posiadali jedną wspólną cechę, którą gotowem nazwać narodową: *zupelny brak charakteru*, tak jaskrawo odbijający się od tego, co wiemy o przywódcach bolszewizmu, jedynych w Rosji ludziach o zdecydowanej fizjonomji, wikingach-przybyszach, dziś jak przed wiekami, na przemocy opierających swą władzę nad bezsilną a obcą im Rosją. *Marceli Handelsman.*



Pod sąd opinji.

Jeszcze o wniosku w sprawie Strzelca.

Wśród bezprzykładnie nieprawdziwych motywów wniosku p. Zamorskiego, na jeden jedyny prawdziwy szczegół powołują się wnioskodawcy, szczególnie w swoim czasie drażliwy i rzekomo kompromitujący. Jest to owa wycieczka „Strzelca” krakowskiego na premjowe strzelanie do Wiednia.

Czas dziś oświetlić motywy tej sprawy, tymbardziej, że wnioskodawcy rozmyślnie tego nie uczynili, choć nie brak z pewnością w ich gronie takich, którzy z zakulisową stroną kwestji dobrze są obeznani.

Kiedy zimą roku 1912—13 rozwinęły się bujnie na terenie galicyjskim organizacje strzeleckie, rozpoczęła się na nie naganka ze strony N. Demokracji—i, rzecz ciekawa, władz namiestnikowskich. W tym samym to czasie na miejsce niemiłego endekom konserwatysty krakowskiego Bobrzyńskiego, został namiestnikiem Galicji Korytowski. On to uznał „Strzelca” za niebezpieczną dla całości monarchji organizację, i ze swej strony czynił nacisk na to, by organizacja została przez państwo rozwiązana. Inspirowały go pod tym względem te sfery polityczne, które co pewien czas zjeżdżały się w Pieniakach u p. Tadeusza Cieńskiego, w tych samych Pieniakach, które były miejscem pielgrzymek hr. Bobryńskiego, Romana Dmowskiego i innych „neosłowiańskich” działaczy.

Doszło do tego, że gdy interwenjowano u pa-

ru oficerów krakowskiej twierdzy, dobrych Polaków, dziś w armji polskiej służących, odrzekli oni, że starania ich rozbijają się o jedno, o *nawał denuncjacji idących z polskich sfer politycznych* „Strzelcowi” przeciwnych, i że wobec takiego argumentu, rzucanego im w twarz przez Niemców, oni, ludzie honoru, czują się bezsilni.

Wówczas to wypadł termin premjowego strzelania w Wiedniu, urządzanego dla wszystkich w całym państwie organizacji, które korzystały ze strzelnic wojskowych. „Strzelec” został zaproszony na tę oficjalną uroczystość z tym poufnym komentarzem, zakomunikowanym za pośrednictwem wyżej wzmiankowanych oficerów, że tylko wzięcie przezeń w uroczystości udziału zneutralizuje owe denuncjacje i może ochronić organizację przed rozwiązaniem.

Decyzja komendy strzeleckiej miała więc na celu osłonę organizacji przed zagładą—i liczyła na wysokie uświadomienie i wyrobienie moralne swych członków, na wycucie trudnego położenia przez społeczeństwo—a może i na lojalność przeciwników politycznych.

Na dwóch pierwszych się nie zawiodła — na trzeciej jednak, na owej lojalności, zawiodła się zupełnie.

Moralni sprawcy sprawy całej, moralni, jeśli nie faktyczni, sprawcy walki przeciw „Strzelcowi”, prowadzonej środkami wspomnianymi wyżej, rzucają im dziś w twarz przypomnienie ich upokorzenia z tą samą partyjną zaciekłością, z jaką kiedyś upokorzenie to przygotowywali.

Rzeczy Różne.

Rokowania w Rydze wloką się tempem wolnem. Brak chęci sprawnego ich prowadzenia u bolszewików widoczny na każdym kroku. Mają to co chcieć mieli—rozejm. Do pokoju i demobilizacji im się nie spieszy. Demobilizacja mogłaby sprowadzić kryzys ich władzy — a tymczasem dobrze jest szantażować Europę wieściami, że na wiosnę rozpocznie się ofenzywa na Polskę. Wieści tych pełno i w Paryżu, i w Londynie i New Yorku—i w Kownie i w Belgradzie.

Polskę szantażuje się sprawą wymiany jeńców wojennych, by za cenę jej przyspieszenia coś jeszcze utargować.

Powstańcza armja ukraińska została zlikwidowana. Wyparta na teren Polski musiała złożyć broń. Pozostały na całej Ukrainie luźne

oddziały powstańcze. Z nich odrodzić się musi w odpowiednim momencie ukraińska armja narodowa i ukraińska republika ludowa. Ze się to stanie—nie wątpi nikt. Orka i siejba dziejowa przeszła przez żyzne niwy,—nie stłumi nikt jej owoców. Ale dla działaczy i patryjotów ukraińskich nadchodzą teraz dni nowych, wielkich prób.

Powstanie białoruskie wybuchło w powiecie Słuckim. Zorganizowała je Rada Białoruska — zupełnie nie zależnie od bałachowiczowskich eksperymentów. Organizatorami wojska są młodzi oficerowie, wychowani w polskiej szkole podchorążych.

Położenie powstania jest trudne, bo o Polskę, ze względu na traktat ryski, oprzeć się nie może. W każdym razie posiew tego pierwszego samodziel-

„Rząd i Wojsko”

jest pismem niezwiązanem z żadną partją i zupełnie niezawisłem

„RZĄD i WOJSKO“ był za czasów okupacji tajnym organem walki, organizującym siły obozu niepodległościowego. Nawoływał do utworzenia rządu, wyłonionego tylko z woli narodu, i budowy armji zależnej tylko od własnego rządu.

„RZĄD i WOJSKO“ przetrwał wyteżone prześladowania policji pruskiej i obecnie już jako tygodnik legalny podjął nowe zadania i rozszerzył zakres swej pracy.

„RZĄD i WOJSKO“ usiłuje torować drogę państwowotwórczą nowo obudzonym siłom narodu i pogłębić ideologję demokracji polskiej.

„RZĄD i WOJSKO“ za szczególne swe zadanie uważa potęgowanie ducha obywatelskiego w żołnierzu polskim, wzmacniania tych węzłów, które łączą naród z jego obrońcą i nawzajem żołnierza naszego z pracą i ideami narodu.

„RZĄD i WOJSKO“ jest organem bezpartyjnym i niezależnym. Wyraża ideologję ludzi, którzy stali przy sztandarze, dźwigniętym w dniu 6 sierpnia 1914 r.

Za redaktora **ANNA SKWARCZYŃSKA.**

Adres Redakcji i Administracji: **Szpitalna 12, telefon 175-34.**

Warunki przedpłaty: W Warszawie z odnośnieniem do domu kwartalnie Mk. 100. — mies. 35.
na prowincji pod opaską kwartalnie Mk. 110. — „ 40.
Konto czekowe P. K. O. № 518.

Cena egzemplarza mk. 9.00.

Prenumeratę przyjmują księgarnie, biura dzienników i ogłoszeń.

Do nabycia w kioskach i księgarniach.